



KRONIKA LWOWSKA.

Jesień we Lwowie. — Magistrat, jego pacholki i błoto. — Co pływa po ulicach Lwowa? — Rozszerzenie tramwajowej sieci. — Pomnik wędrujący. — Bartosz Głowacki nie ma pieniędzy. — Patryotyczna Strzelnica. — Jubileusz p. Michalskiego. — Zjazdy i zgromadzenia. — Pogrzebowy memoriał. — Głodomory wiecują, a Sejm się śmieje. — Historia o pewnej kobyle, która nauczyła się pościć. — Bileterzy bez wyjścia. — Z teatru. — Gustaw Fiszer i jego monologi. — Nasza Abdera. — Co byłoby w Wiedniu. — Pani Janowa, pani Walentowa i jej syn przy teatrze. — Jedna litera.

Sprzeniewierzyła się nam w tym roku nasza dotąd tak piękna jesień, bo od dni kilkunastu mamy brzydką, słotną zimę, która mieszkańcom znanej ze swojej przysłowiowej stolicy czystości daje we znaki więcej, aniżeli żądają.

No i naturalnie wszystkie skutki tak dobrze każdemu znane. Miasto jak jedno wielkie bagno, po którym pływają płyty, kamienie, piasek, słoma, odpadki z owoców, stare kalosze, zdechłe koty, czerepy, zużyte kapelusze damskie, męskie i dziecięce, części obuwia, podwiązki, gdzieś tam nawet część garnituru damskiego lub niemodny angielz albo nawet szczątka cylindra... W trotoarach miliony dziur, w dziurach kamienie, zapadające się pod naciskiem stopy ludzkiej i wysyłające strumień błota prosto na garderobę, okrywającą nieopatrzną stopę... Lwów podczas słotnej jesieni... Dzienniki piszą o „Wenecyi we Lwowie“ i doradzają przeprować się na gondolach... Ale gondole w błocie nie poruszają się tak gładko i dlatego magistrat słusznie nad tym wnioskiem przeszedł do porządku.

Natomiast wysłał swoich pacholków z poleceniem oczyszczenia ulic z błota. Pacholki idą i zgarniają czy zmiatają błoto, gromadząc je po dwóch stronach ulic, ażeby je wozy magistrackie nasępnie stąd sprzątnęły. Ale wozy magistrackie przyzwyczajone do rozwożenia taniego opału miejskiego, spażniają się i tu... Przyjeżdżają o dwa dni za późno, bo nagromadzone błoto rozeszło się tymczasem po całej ulicy... Potem znów tamci przychodzą zgartywać a wozy znów przychodzą za późno i tak w kółko... Aż wiatr i słońce wysuszą błoto lub mróz je zetnie i znów jest sucho — dzięki magistratowi.

Lwów podczas słotnej jesieni...

Magistrat stara się jednak o ułatwienie po lwowskich błotach komunikacji przez rozszerzenie sieci tramwaju elektrycznego. Między innymi dostajemy wkrótce przedłużenie linii Park-stryjski — Kawiarnia wiedeńska aż do teatru miejskiego, co podobno ka spowodować przesunięcie pomnika Sobieskiego pod gmach kryminalny krajowej dyrekcji skarbu, jak wiadomo, najpopularniejszej instytucji w kraju. Taki afront nie powinien spotkać króla Jana III.

Niech już lepiej dalej zagląda do galicyjskiej Kasy oszczędności, buławą wskazuje hotel „Grand“ a ogłosem kawiarnię wiedeńską...

Za to pomnik Bartosza Głowackiego nie może się doczekać odsłonięcia, pomimo, że zapowiadano tę uroczystość na początek a najdalej na połowę października. Tymczasem i listopad już nadszedł a może i minie bez odsłonięcia pomnika, bo... brakuje pieniędzy. Niewiele wprawdzie brakuje, drobna zaledwie sumka, ale niema jej, więc nie można odsłonić pomnika... Lwów jedne miasto...

Nie mówię już o drogich bankietach i obiadach u namiestnika, marszałka i prezydenta, ale gdyby taka mieszczańska Strzelnica z jednej takiej ucztyszczeknęła kilka butelek to można by już uzupełnić fundusz pomnikowy. A Strzelnica wiwatuje przy każdej sposobności i oblewa ojczyznę alkoholem rozmaitego gatunku aż do nieprzytomności.

Niedawno zapijano siarczyste dwudziestopięciolecie wstąpienia do Strzelnicy p. Michalskiego. Przy tej sposobności „pito zdrowie“ wszystkich obecnych po kolei, zdrowie solenizanta i zdrowie nieboszczyków, a zebrano na rozmaite cele filantropijno-społeczne razem kilkadziesiąt koron... Nie można żądać od namiestnika, marszałka, od zebranych na sejm szlachciców pieniędzy na pomnik chłopca-rewolucjonisty, ale mieszczańska Strzelnica i jej łyczakowscy patryoci, powinni by czasem rumienić się, nie tylko od alkoholi...

Obradujący obecnie Sejm spowodował kilka zjazdów i zgromadzeń. Ludzie naiwni wierzą je-

szcze, że taki Sejm będąc jedynym parlamentem polskim, jeszcze przecież coś zrobi dla swoich. Wiecie już o tem, co się stało z memoriałem partii socjalno-demokratycznej w sprawie powszechnego prawa głosowania. Przekazano go komisji administracyjnej celem pogrzebania żywcem. Tydzień temu wielkie było burum, pisano, że czasy się zmieniają, marszałek i namiestnik przyjęli łaskawie deputację socjalistów — w dziesięć dni później pokazuje się... farsa. Zakpili panowie z żądań i nadziei ludu.

Teraz inni paryase wstają. Nauczyciele ludowy powyłazili z mysich dziur i upominają się o poprawę dolę. Latami mówi się u nas o tych głodomorach, artystach w swoim zawodzie produkujących się znakomicie sztuką wstrzymywania się od jedzenia i napoju przez całe życie... Sejm na to odpowiada, że przecież dotąd żaden nauczyciel ludowy nie zginął z głodu. Prawda, że nauczyli się pościć, ale im z tem dobrze, bo skromność i wstrzeźliwość, to dwie największe cnoty człowieka... To zaś, że czasem taki nauczyciel umrze na suchoty, nie jest skutkiem głodu, ale — alkoholów. Przypomina to historię pewnego biedaka, którego całym majątkiem była kobyła. Kobyła pracowała na swojego pana, ale sama jeść musiała, więc dla biednego właściciela mało zostawało. Oto postanowił kobyłę odzwyczajać od jedzenia. Pościła biedna kobyła w pierwszym tygodniu jeden dzień i nic nie mówiła... W drugim tygodniu pościła przez dwa dni i nie skarżyła się. W ósmym tygodniu doprowadził biedak do tego, że jego kobyła umiała już przez ośm dni z rzędu pościć. Słowem odzwyczajai się zupełnie od jedzenia, a właściciel był już kontent, że dochody jego tem samem się powiększyły. Cóż kiedy właśnie w tym czasie kobyła nagle i niespodzianie zdechła. A szkoda, umiała już ośm dni pościć.

I urzędnicy kolejowi zaczynają się ruszać. Zacheć ich podobno sukces nauczycieli ludowych... Że też jeszcze ludzie tak bardzo lubią się łudzić... Zwołuje się zgromadzenie, omawia się sytuację, podaje się niezawodne środki, obmyśla się plany, prosi się obecnych na zgromadzeniu dwóch posłów o interwencję i na tem się kończy farsa... Zanim sprawa dostanie się do Wiednia, jedna połowa gubi się po drodze, drugą zabijają we Wiedniu jakąś wymówką i przyrzeczeniem, że może potem, kiedyś to i owszem, ale dziś niesety...

Do innych paryasów zabrała się policja lwowska. Bileterzy teatru miejskiego otrzymali surowe polecenie baczenia, by nikt podczas przedstawienia nie stawał w sztychach wchodowych, gdzie jak wiadomo, stoją artyści teatru, dziennikarze, lub inni „znajomi“ teatru. Bileterzy karani będą grzywnami pieniężnymi, jeśli nie będą przestrzegać tego polecenia policji. Można sobie wyobrazić położenie tego biedaka, który ma teraz do wyboru dwie drogi: albo zapłacić grzywnę przewyższającą trzykrotnie jego zarobek, albo narazić się jakiemuś potentatowi teatralnemu, który może postarać się o wydalenie krnąbrnego biletera.

Teatr zapowiedział cały szereg sensacyjnych nowości w dziale dramatu, ażeby bodaj w części usprawiedliwić dotychczasową dżemkę. „Birbanta“ krytyka zmasakrowała, biorąc go zbyt seryo, a więc fałszywie.

Opera jeszcze zawsze robi kasę i wyciąga z biblioteki zapyłone stare opery, co zresztą naszej publice jest zupełnie obojętnem, bo ona teraz chodzi „na operę“ a mniejsza o to na jaką.

Mieliśmy w ostatnich dwóch tygodniach dwa wieczory humorystyczne Gustawa Fiszera. Zanim wydobędę od upartego na tym punkcie artysty fotografie, ażeby wydrukować jego szczegółową sylwetkę, muszę wydać słów poświęcić jego wieczorom.

Musi coś być w tych monologach Fiszera, kiedy od lat kilkadziesiąt tak ciągną. Gra zawsze te same monologi, charakteryzuje się zawsze tak samo, a publiczność od lat kilkadziesiąt na śmierć się zaśmiewa.

Kto we Lwowie lub na prowincyi nie słyszał tych monologów, kto ich już dziś nie umie prawie na pamięć, a kto nie poszedłby z gustem jeszcze raz oglądać przepysznego Śniadankiewicza, starego Żeniaczkiewicza, zakłopotanego Ferblikiwicza, wesołego Bałagule, dwcipnego Moryca kelniera typowego Kałamarzewskiego i t. d. Znają to wszyscy a chodzą dalej i śmieją się bez końca, bo jest tam wspaniały, wiecznie świeży dowcip i humor, bo jest w nich szczerza, arcyzręcznie uchwycona na „gorącym uczynku“ prawda życiowa, bo są tam nasze słabości bajecznie odmalowane z taką szczerością i tak pysznym okraszonym humorem, że wolno te drobne utwory Fiszera nazwać arcydziełami w swoim rodzaju. Próbowali i inni

isać i mówić monologi, ale nikt dotąd Fiszelowi nie dorównał i zdaje się nie dorówna tak rychło. To wszysko znane typy, takie nasze, z bruku, z codziennego życia, prawdziwe i w tem tajemnica ich olbrzymiego powodzenia, ich wiecznej świeżości. Bo prawda nie starzeje się...

Grywa przeważnie własne monologi i przeważnie dawne. Te też są najlepsze i najwięcej się podobają, tymi ratuje obce, nowe, naturalnie już nie tak dobre. Ma on swoją publiczność, która niejako tradycyjnie chodzi na jego wieczorki. Są między nią ludzie, którzy nigdy teatru nie widzieli, a na wieczorki Fiszera chodzą stale.

Ten Fiszer, który jest zarazem znakomitym komikiem charakterystycznym, jednym z najlepszych w Europie, przebywa stale we Lwowie a nie wchodzi w skład personelu teatru miejskiego... Co ciekawsze, stan ten trwa od lat kilku i nikomu się nie śni czynić starania, by scena odzyskała taką siłę. Gdyby Fiszer był np. przed trzema laty umarł przed wystąpieniem z teatru, byłibyśmy poprostu ryczeli z żalu i wołali i pisali, jak to on jest niezastąpiony, jaką niepowetowaną stratę poniosła scena polska... A Fiszer zdrowy jest, żyje, śmieje się i innych do szczerzego śmiechu pobudza swoimi monologami, lecz pokazuje się dwa razy w roku w małej sali Sokoła... Na scenie niema Fiszera i godzimy się na to...

W takim np. Wiedniu noszonoby kołnierzyki i kapelusze à la Fiszer, co kilka lat obchodzono by jego jubileusz, wiedeńczycy zasypywaliby go wieńcami i kwiatami i dumni byłiby, że go mają i kochać mogą... U nas inaczej. My Lwów...

Ex re wieczorków Fiszera opowiadają sobie dobry dowcip, choć nie bardzo nowy. Spotykają się dwie kumoszki, z których jedna chwali się przed drugą, że syn jej, który dotąd nie chciał się uczyć, dostał nareszcie świetną posadę, dzięki której będzie mógł utrzymywać ją na stare lata.

— A czemuż jest wasz syn, pani Walentowa? — pyta zaciekawiona Janowa.

— O, moja pani Janowa, syn mój tera wielki człowiek, bo zarabia wielkie pieniądze przy teatrze.

— A czemuż on jest przy teatrze? — pyta niecierpliwie Janowa.

— Ano czem, to naprawdę nie wiem, bo to się jakoś tak nazywa, taki, taki fiszer...

— Aha, to on może mówi monologi? — pyta Janowa.

— E, nie — odpowiada Walentowa — tamten, co mówi monologi, to jest G. Fiszer, a mój to jest afiszer...

Mała różnica... Jedna litera... Kl.



Kącik humorystyczny.

Daremnie.

Doktor: Panie Brzuszkiewicz, musisz pan skromniej żyć i używać dużo ruchu.

— Bo widzisz, kochany doktorze, jak jem, to muszę pić, a jak piję, to jeszcze więcej jem. A potem muszę spać i od tego mój brzuszec.

Na wyścigach.

— Jaki ten Iks, co zyskał pierwszą nagrodę w „steeple-chase“, mły i uprzedzający człowiek!

— Inaczej być nie może. Kto chce zwyciężyć w „steeple-chase“ — musi być bardzo... uprzedzający.

Na pensyi.

— Powiedz mi czas przyszły słowa „kochać“.

— Zaślubić!

Skromny.

— Co z tego Władka za skromny człowiek!

— Niby czemu?

— Mógłby się umizgać do pani prezesowej a zadawałnia się jej słysząc.

W poczekalni kolejowej.

— Pani czeka niezawodnie na małżonka? — zaczyna Guccio przystojną samotną podróżną.

— Tak, panie, od lat dziesięciu, lecz nie chce się zjawić!